

Doniesienia z krainy ciemności. Princip Gabriel (fragment)

Przełożył Miłosz Waligórski

Rozmowa latem

Nie sprawdzałem, czy linia kolejowa ciągnie się dalej za Terezinem, ale dałbym głowę, że kończy się właśnie tutaj, zarówno linia, jak i cały prawdziwy świat. Ja w każdym razie, kiedy w miejscu, które konduktor nazwał stacją kolejową Terezin, wyszedłem z wagonu na trawiasty nasyp, poczułem się jak uciekinier z rzeczywistości. Nie towarzyszyło mi uczucie końca wędrówki, ale końca wszystkich dróg, czasu i świata, wrażenie, że dalej nie da się zrobić ani jednego kroku.

Lodowaty, wilgotny wiatr przekonał mnie, że rzeczy, których nienawidzimy, są możliwe i, co więcej, nieuchronnie obecne zawsze i wszędzie, nawet tam, gdzie wszystko inne przestaje istnieć. Ten dziwny wiatr, jak mi się wydawało, dął równocześnie ze wszech stron, zaciągnięty wilgocią, przenikliwy, zimny i lepki przylegał do skóry jak mokra szmata i jednocześnie przedostawał się w głąb człowieka, do wnętrza kości i duszy, na dno wspomnień wszystkich nieszczęśników, którzy nie zdołali przed nim uciec. Niebo było zasłonięte wysoką mgłą i chmurami, nisko i szaro, i jeśli wiatr poprzecierałby gdzieś niedługo mgłę i chmury, przez te przeświły przeniknęłoby słońce, samo w sobie jakieś siwe i swoim światłem natężające szare i szaro-żółtawe barwy ziemi. Słońce popielate albo bladeżółte, piaskowe. Kiedy, wiedziony kierunkowskazami, szedłem do muzeum kultuwującego pamięć obozu koncentracyjnego Theresienstadt, przypominałem sobie wszystko, co o tym miejscu wielokrotnie opowiadał mi Herbert. Właśnie najczęściej na przykładzie Terezina dowodził on swojej teorii, że przestrzeń ma swoją naturę i logikę, zdolność pamiętania i dawania świadectwa, przyjmowania i rezygnacji z rzeczy, umiejętność wymykania się spod kontroli człowieka i kierowania się własną wolą.

Miejscowość powstała pod koniec XVIII wieku (1780–1790, jeśli się nie mylę) jako system umocnień, mający na celu uniemożliwienie wrogim oddziałom wtargnięcia do środkowych Czech od strony północnej i północno-wschodniej. Nazwano ją Theresienstadt na cześć poprzedniej władczyni, matki cesarza Józefa II, fundatora twierdzy. Ta osobista dedykacja przyczyniła się do tego, że architekci przykładali duże znaczenie do tego przedsięwzięcia i wiązali z nim bardzo poważne plany. W końcu, krótko po założeniu, Theresienstadt został ważnym miastem garnizonowym, któremu bardziej rozgarnięci wróżyli świetlaną przyszłość. „Ale miejsce, na którym powstało miasto, chciało inaczej” – wykrzykiwał Herbert przy okazji obsesyjnych rozmyślań nad swoim ulubionym tematem – „przebieg tego miejsca nie miała ochoty przyjmować ani twierdzy, ani miasta i uniemożliwiała urzeczywistnienie ludzkich planów”. Dlatego projekty

przybrały formę odwrotną do zamierzonej, coś na kształt lustrzanego odbicia ludzkich intencji, gorączkował się Herbert, czasem przy tym chichocząc, kiedy wyjaśniał, że w Terezynie to, co według architektów miało stać po lewej stronie, w końcu znajdowało się po prawej, a to, co powinno być u góry, w finale trafiało na dół itd.

Theresienstadt został zaplanowany i zbudowany jako twierdza, chociaż nigdy się nią nie stał. Zamiast tego od początku służył jako wojskowe i polityczne więzienie. A więzienie to swoiste przeciwieństwo twierdzy, jej lustrzane odbicie – podczas gdy twierdza broni przed nieprzyjaciółmi z zewnątrz, więzienie radzi sobie z wrogami wewnętrznymi. „Theresienstadt nie wstawił się bohaterskimi czynami, jakim zwykły asystować twierdze, natomiast zastąpił brutalnym traktowaniem więźniów, zamiast patriotycznymi uniesieniami wypełnił się rozpacz niewinnych” – powtarzał wiele razy mój przyjaciel. W okresie międzywojennym było tam więzienie i garnizon, a od listopada 1941 roku – przejściowy obóz koncentracyjny. Słowem, do końca drugiej wojny światowej ta niespełniona forteca sprawowała funkcję więzienia, obozu i prowincjonalnego garnizonu.

Herbert twierdził, że ludzkie zamiary sprzysięgły się przeciwko naturze miejsca i że wyniknęły z tego spektakularne nieporozumienia, które poświadczą cała historia miasta. Duch ziemi, w której wzniesiono twierdzę, klóci się z aurą fortyfikacji obronnej, obcy ferworowi bitwy i euforii zwycięstwa nie dopuścił do okrzyków tryumfu ani szczęku oręża. Ludzie uwzględnili to przy budowie, ale przestrzeń przenicowała ich zamiary. „We wszystkim, na co rzucisz okiem, można wyczuć ironię przeinaczenia, jakby to, co jest, zrobiło na złość temu, co miało być” – mówił Herbert, być może na fali retoryki, ale zapewne nie bezpodstawnie. Wszystkie zmiany reżymów, państw, systemów politycznych i struktury ludności jakoś ominęły tę miejscowość, w jej architekturze i atmosferze nie zostawiając śladu – w każdej epoce i w każdym państwie były tutaj więzienie i prowincjonalny garnizon, którym oszczędzono i walki, i ognia. Również w tym szczególnie ludzkie plany przybrały formę odwrotną do zamierzonej – miasto projektowane jako ważny garnizon na pierwszej linii obrony, tuż po powstaniu stało się zapadłą prowincją pełną zapomnianych jednostek wojskowych, niezaprawioną w najłżejszych nawet bojach.

Szedłem ulicą Dworcową, prowadzącą od stacji kolejowej do centrum i, obserwując mijane budynki, przypominałem sobie słowa Herberta o Terezynie. Z tego, co widziałem, wiele potwierdzało jego teorię. Opadający tynk fasad odślaniał znaki i liczby byłych czasów, kolory wypadały blado, chodniki i ulice – niechlujnie i wszystkie widoczne rzeczy podawały w wątpliwość fakt, że przed dziesięć laty, kiedy otwarto muzeum, całe miasto zostało odnowione i przywrócone do życia. Nie znalazłem natomiast potwierdzenia słów Herberta, że budynki, zakurzone ulice i liście na drzewach pamiętają cierpienia zamkniętych tu ludzi, może dlatego, że spędziłem za mało czasu, by zarejestrować cokolwiek, co sięga dalej niż pierwszy rzut oka, a może dlatego, że Herbert, mówiąc o tym, jednak dał się ponieść retorycznemu uniesieniu.

Między niegdyśszym szpitalem a koszarami policji, na których spod zaprawy prześwitywał znak Emb, ciągnęła się ulica biegnąca w kierunku głównego rynku i ratusza. Przeszedłem przez rynek wysadzony drzewami pewnie w ramach jakiejś akcji upiększania

miasta w czasie II wojny światowej, dotarłem do ulicy Główniej i skręciłem nią w prawo, ponieważ tam, według wskazówek Herberta, miał się znajdować budynek, w którym jako więzień obozowy przebywał Ullmann. Kilkaset metrów dalej, przy drogowskazie zobaczyłem wysokiego, szczupłego człowieka o słomianożółtych włosach w garniturze podobnym do munduru i – zakładając, że jest pracownikiem muzeum, kustoszem albo ochroniarzem – zapytałem, gdzie znajdę blok B4. Zamiast odpowiedzi, zapytał, skąd jestem – prawdopodobnie wymowa zdradziła moje obce pochodzenie. Odpowiedziałem, a żółty dryblas wyraźnie się ucieszył, jakby po latach odnalazł zaginioną bliską osobę. W moim języku zarzucił mi, że zwracam się do niego nie po naszemu, a przecież z łatwością możemy porozumieć się jak bracia, przypomniał, że zawsze, dosłownie w każdej sytuacji, najpierw powinienem próbować mówić po swojemu, a na inny język przechodzić tylko w obliczu całkowitego niezrozumienia. Zapewnił mnie, że radzi tak nie tylko dlatego, że ten, kto mówi w swoim języku, ma przewagę taktyczną, ale także dlatego, że to obowiązek wobec narodowej dumy, godności kultury i wielu innych, niezliczonych spraw, poza tym dodał, że ludzie, którzy wolą rozmawiać w języku innym niż ojczysty, wydają się co najmniej podejrzani. Skończył i podochocony machnął, żebym za nim poszedł.

Moim językiem władał całkiem dobrze, niemal doskonale jak na kogoś, kto prawdopodobnie rzadko miał okazję go używać. Oczywiście popełniał liczne błędy, śmiesznie wymawiał słowa, ale w ogóle mi to nie przeszkadzało. O wiele trudniej przyszło mi przyzwyczaić się do jego nader donośnego głosu, tak szaleńczo miotającego grdyką, że nie mogłem od niej oderwać wzroku i skoncentrować się na wypowiedzi. Szczególnie niełatwo było znieść to, że jego radość ze spotkania w miarę upływu czasu ani trochę nie traciła na sile. Z powodu natury potulnego baranka za wiele już doświadczyłem, żebym z góry umiał przewidzieć, co mnie czeka ze strony tego żółtego drągala, tym bardziej, że przymilnie się uśmiechał i kordialnie cieszył – nie mogłem tak po prostu rąbnąć mu prosto w oczy zwykłego „nie”.

Wyjaśnił, że nazywa się Franciszek Krylin, dla przyjaciół i od dzisiaj dla mnie też – Franta. Zapowiedział, że z chęcią wyczerpująco i kompetentnie oprowadzi mnie po miejscach, których szukam, a nawet pokaże więcej, o wiele więcej – mianowicie odkryte przez siebie rzeczy, najlepszym specjalistom znane jedynie powierzchownie. Serdecznie, ale z wyższością zwrócił uwagę, że blok B4, o który pytałem, nie ma z nimi nic wspólnego, że zaprowadzi mnie w zupełnie inne miejsce, na drugi koniec kompleksu. Zbity z tropu i lekko podenerwowany spytałem, skąd, na Boga, może wiedzieć, czego szukam i gdzie to znaleźć, skoro ani na chwilę nie dopuścił mnie do słowa. Szczerze mówiąc, złość powinienem wymierzyć w siebie, a nie w niego, bo to ja znosiłem jego natarczywą obecność i posłusznie mu towarzyszyłem tylko dlatego, że ten natręt umiał udawać wylewność i stwarzać pozory zaufania. „Ciężki los tych, do których lgną wszelkiej maści świry i robią z nimi, co chcą” – myślałem, ale szedłem grzecznie za tym nieproszo-nym panem okolicy i przewodnikiem, dziwiłem się i przeklinałem swój żałosny charakter,

żywiąc gorliwą nadzieję, że tego, czego w przekonaniu Franciszka szukam i co mi musi pokazać, nie jest za wiele.

Doszliśmy do murów, do jednej z wież. Franta, przeraźliwie hałasując, otworzył tęgie drzwi i po stromych schodach ruszył w dół do podziemi. Przez otwarte wejście wszedł do pomieszczenia, którego mój wzrok jeszcze nie osiągał, i stamtąd dumnie krzyknął, jakby wprowadzał mnie w coś, w czym ma szczególnie zasługi: „Oto jesteśmy, to tu”.

Kiedy dotarłem do progu i zająłem w głąb tajemnego pomieszczenia, zobaczyłem małą celę więzienną wbudowaną w fundamenty murów twierdzy. Tuż pod wysokim sufitem przez miniaturowe okienko przebijało słabe szare światło, które, nie wiadomo, czy wpadało z dworu, czy z jakiegoś innego zamkniętego pomieszczenia. Ponieważ okno wstawiono bardzo wysoko i jasność nie docierała na dno, tylko zawisała u góry pod stropem, w celi panował ciemnoszary półmrok, bardzo nieprzyjemny dla oczu, szczególnie moich. Wzdłuż ściany z oknem rozłożono na dwóch podstawkach legowisko ze zbitych trzech desek, Dostojewski takie albo podobne postanie nazywa bodajże pryczką, ale jak się na nie mówi poza literaturą rosyjską, nie mam bladego pojęcia. W ścianie, której legowisko dotykało podgłówkiem, dziesięć centymetrów w prawo od łózka i dwadzieścia w górę przymocowano niewielki żelazny pierścień. W odległości jednego, dwóch kroków od postania w kierunku drzwi, przy samej ścianie na prawo od wejścia, stał gruby stół z nieoheblowanych desek, krzesło i większa drewniana miska. Objąłem to wszystko spojrzeniem i w oczekiwaniu na wyjaśnienie przenieśliem je na nowego znajomego.

– To tu – powtórzył Franta i okrężnym ruchem ręki zapanował nad pomieszczeniem.

– Co? – zapytałem, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi.

– Cela – wyjaśnił cierpliwie Franta.

– Jaka cela?

– No jego, Principa! – wykrzyknął Franta, nie wiadomo, zdenerwowany czy bardziej zdziwiony.

Potem wytłumaczył mi, że Gawriło Princip był przywiązany łańcuchem do tego pierścienia w ścianie i że długość łańcucha pozwalała mu poruszać się między stołem a postaniem. „A dalej nie miał jak chodzić” – szczebiotał Franta i wszystko mi demonstrował, leżąc na deskach, wstając i podchodząc raz do stołu, raz do drzwi, raz do przeciwległej ściany... Bardzo był podniecony, mówił szybko i głośno, zresztą jak od początku naszego spotkania, ale teraz z egzaltacją aktora przed próbą generalną. Nie mogłbym go uważnie słuchać, nawet jeśli bym chciał – dosłownie kipiałem ze złości. Tylko komuś takiemu jak ja może się przytrafić podobnie bezsensowna sytuacja, w ogóle według mnie pozostaje jedynie kwestią czasu, kiedy przez nieumiejętność racjonalnego traktowania uprzejmości innych wpadnę w jakieś kłopoty. Oczywiście, że Franta, kiedy tylko usłyszał, skąd pochodzę, pomyślał, że szukam celi, w której umarł Gawriło Princip, ale oczywiście jest też to, że dopiero wtedy, w połowie marca 1998 roku, dowiedziałem się, że Gawriło Princip umarł w Terezynie. Wcześniej naturalnie wiedziałem o zamachu w Sarajewie, o zabójstwie habsburskiego następcy tronu i jego żony, ale przez całe życie

się pilnowałem, żeby nie poznać żadnych szczegółów z tym związanych, bo mógłbym się szybko zatracić w rozmyślaniach, poszukiwaniach, określaniu swojego stanowiska i formułowaniu sądów na ten temat. A było to jedno z wielu wydarzeń z osławionej przeszłości moich narodów, których nie chciałem dogłębnie badać, ponieważ są zbyt powikłane, nieprzejrzyste, skłębione i mętne, słowem – należy ich unikać. Skupia się we mnie wystarczająco dużo zagadek, więc wolę dodatkowo nie grzebać w odmętach przeszłości. A teraz w to, przed czym się całe życie skutecznie broniłem, wciągnął mnie żółty Franta, skaczący po celi i dzwoniący łańcuchami, podczas gdy ja trzęsłem się z podziemnego zimna i przeklinałem siebie. „Trzeba się ratować” – skowyczała we mnie rozpacz. „Widocznie temu świrowi bardziej zależy na Gawriłe Principie niż mnie na własnym życiu. A co, jeśli postanowi omówić wszystkie te tematy, którymi nigdy nie chciałem się zajmować!?”

Ale jak się ratować, jak go zatrzymać, podekscytowanego i rozjarzonego, skoro rozpacz i pesymizm biorą nade mną górę? Przypomniałem sobie o starym dobrym rozkładzie jazdy i w desperackiej nadziei, że uda mi się pozbyć uparciucha, wymamrotałem coś o powrocie, pociągu i obowiązkach.

Pytanie jesienią

Franciszek Kylin, zwany Franta, po raz wtóry zagościł w moim życiu pod koniec października 1998 roku, kiedy robiłem porządki w papierach nagromadzonych na biurku podczas pracy nad projektem Ullmann. Oddzielałem to, co nadaje się do wyrzucenia, od tego, co powinienem zachować, przeglądałem, a czasem dokładnie czytałem każdą kartkę. W ten sposób trafiłem na cienki kilkustronicowy plik, który wcisnął mi Franta w Terezynie tuż przed rozstaniem, w momencie, kiedy wsadzałem do pociągu, nadziei mojego wyzwolenia. Przez ekscytującą, ale i żmudną pracę nad przedstawieniem według Ullmanna zdążyłem zupełnie zapomnieć o tych papierach, o Francie i całej tej niefortunnej wycieczce do Terezina (zawsze byłem mistrzem w wypieraniu z pamięci tego, czego powinienem albo przynajmniej mogłem się wstydić). Dla czego więc wtedy, pod koniec października, już od pierwszych słów, czytanych z zapisanych na maszynie kartek, ożył zarówno Franta, jak i ożyło tych kilka godzin, spędzonych z nim w połowie marca? Jak to rozumieć, jak wytłumaczyć tę sprzeczność? Bo nie chodzi o to, że ja coś sobie przypominałem, ale o to, że wszystko stanęło przede mną jak żywe – Franta ze swoimi kanciastymi ruchami prowincjonalnego aktora i jego egzaltowany głos, i słomiana czupryna, i pełen wilgoci ziąb, i te moje rozpaczliwe próby wynalezienia jakiejś formy ucieczki.

Kiedy w piwnicach Franta skończył demonstrację poczynań Gawriła Principa – pokazywanie jak przykuty łańcuchami do żelaznego pierścienia sięgał pod stół po odpowiednie naczynie, by zaspokoić potrzeby fizjologiczne, jak się miotał między posłaniem a drzwiami, jak jadał obiady i jak pił wodę z dużej drewnianej miski – wyszliśmy z powrotem na powierzchnię. Również na górze, w przygaszonym świetle dziennym, wbrew oczekiwaniom nie odstępował mnie dokuczliwy chłód, ten okropny ziąb, który dopadł mnie już tam na dole, w celi. Nie odszedłszy nawet dziesięciu kroków

od tych zwalistych drzwi, które właśnie zamknął, Franta wyciągnął z kieszeni ogromny zegarek, spojrzął na niego, po cichu coś szacował, unosząc głowę do nieba, by w końcu oznajmić, że do najbliższego pociągu mam jeszcze około trzech godzin, po czym długimi krokami ruszył w stronę centrum, prawdopodobnie zakładając, że będę mu towarzyszył. Mniej więcej w połowie ulicy Pocztowej otworzył jakąś bramę, machnięciem ręki zaprosił mnie do środka, wszedł za mną, dokładnie ją za sobą zamknął i pokazał, żebym podszedł do oszklonych drzwi na prawo od wejścia. Znaleźliśmy się w stosunkowo dużym pomieszczeniu o dwóch oknach, wyposażonym w biurko, otomanę i zestaw klubowy pod oknem, gdzie, zachęcony gestem Franty, usiadłem.

– Czy kiedykolwiek zestawieś daty z jego życia i rzucisz okiem na tę listę? – zapytał mnie, kiedy już obaj siedzieliśmy.

– Nie – odpowiedziałem zdecydowanie i na wszelki wypadek zapytałem, kogo ma na myśli.

– Principa – ustalił Franta z wyrzutem w głosie, jakby rozumiało się samo przez się, o kim mowa. – Kiedyś spisałem wszystkie ważniejsze daty z jego życia, od narodzin do pójścia do szkoły, uwzględniając przenosiny do Belgradu, zamach i śmierć, a potem zestawiełem te daty według ich podstawowych cech numerologicznych i na widok tego, co zobaczyłem, zdębiałem. Nie bój się, nie wyłożę ci całego systemu, weź tylko kilka powszechnie znanych dat i wszystko stanie się jasne. Zamachu w Sarajewie dokonał 28.06.1914, a umarł 28.04.1918, zatem dokładnie po upływie czterech lat bez dwóch miesięcy, w wieku dwudziestu czterech lat. Czy nie widzisz, że pojawiają się tutaj ciągle te same liczby, że wszystkie są parzyste, a w przypadku niedoboru albo odejścia dominuje liczba dwadzieścia osiem i gra cyfr dwa i cztery? Czy nic ci nie mówi, że suma cyfr przeznaczonej liczby dwadzieścia osiem wynosi dziesięć, jest liczbą doskonałości i pełni, zaokrąglenia i całości, liczbą powstałą z połączenia cyfry podstawowej, czyli jedynek i zera, które jest źródłem wszystkich liczb, cyfrą o formie eliptycznej, a nie kolistej, a to dlatego, że koło to równy samemu sobie kształt doskonały, podczas gdy zero osiąga stan idealny dopiero w połączeniu z jedyneką? Uważasz, że to wszystko przypadek? Jeśli tak, przypomnij sobie, że przywieziono go tutaj, do Trzynastego Szpitala Wojskowego, 07.04.1916. Wtedy zmienisz zdanie. Nawet bez moich komentarzy staje się oczywiste, że gdyby nie odbyło się to siódmego dnia miesiąca, data dostarczenia go do szpitala stanowiłaby idealny środek między datami zamachu i śmierci. Ale to musiało się wydarzyć wtedy po to, by siódemka zsumowana z numerem szpitala dała dwadzieścia, czyli tyle samo, co łącznie wynoszą rok i miesiąc, w którym to się stało. W ten sposób otrzymujemy dwadzieścia, dwadzieścia cztery i dwadzieścia osiem – liczby stanowiące i wypełniające kolejne jego życia. Wszystko, co się z nim łączy, stoi pod znakiem tych numerów, parzystych i dających w sumie dwa, sześć i dziesięć, czyli trzy liczby tak samo odległe od siebie różnicą cztery, jak te trzy podstawowe numery jego przeznaczenia. Czy teraz rozumiesz, na co chcę ci zwrócić uwagę?

– Nie bardzo – przyznałem niechętnie.

– Czyż musisz coś wiedzieć o mistyce i tajemniczej mocy liczb, żeby zauważyć te wszystkie narzucające się analogie? – pytał Franta. – Przecież od razu zwróciłeś uwagę na cały szereg prawidłowości, prawda?

– Tak.

– Jedna symetria może być przypadkowa, ale pięć to już jest jakieś prawo, układ jak najbardziej nieprzypadkowy, czy tak? – perorował Franta.

– Zgoda – przyznałem.

– Chciałem tylko, żebyś o tym wiedział – zakończył mój gospodarz, ewidentnie zadowolony, że się rozumiemy, po czym podszedł do biurka, przez chwilę przekopywał szuflady, znalazł coś i włożył do aktówki. Zaproponował spacer, wziął teczkę w rękę i ruszyliśmy.

Po drodze zdradził mi, że do rozmyślań o datach i liczbach z życia Gawriła Principa skłoniło go odkrycie znanego tylko kilku wybrancom zeszytu, zawierającego wypowiedzi Principa z ostatnich miesięcy przed śmiercią. Jego lekarz, dr Martin Pappenheim, ze swoim sławnym pacjentem wiązał wielkie plany naukowe, dlatego chciał o nim wiedzieć jak najwięcej, dotrzeć do podświadomości, emocji i głębin jego duszy, czego nie mógł osiągnąć za pośrednictwem niemieckiego, ponieważ nawet gdyby pacjent nagiął swą wolę do celów lekarza więziennego, niemiecki pozostawał mu obcy. Dlatego Pappenheim skorzystał z okazji, że jeden z jego asystentów, dr Oskar Levitan, rodem z Neusatz – Nowego Sadu – Neoplanty, mówił w języku Principa, i wydał mu polecenie, żeby spędzał z więźniem jak najwięcej czasu i jak najwierniej odnotowywał jego wypowiedzi. Kolejną okolicznością sprzyjającą była znajomość stenografii, dzięki której Levitan częściowo sfinansował swoje studia, pisząc dla gazet sprawozdania z interesujących procesów sądowych, raz po raz wzbogacając je o własne ekspertyzy lekarskie. W ten sposób mógł utrwalić praktycznie wszystko, co przed wczesną śmiercią powiedział Princip. W tym czasie stan zdrowia więźnia znacznie się pogorszył, silne gorączkowanie z majakami i wygłaszaniem płomiennych mów zdarzało się o wiele częściej niż okresy przytomności, co – jak należy przypuszczać – było dla lekarza o zainteresowaniach i ambicjach dr. Pappenheima o wiele ciekawsze niż objawy zrównoważenia i rekonwalescencji. Nigdy nie jesteśmy bowiem na tyle nieuważni, żeby całkowicie się otworzyć przed drugim człowiekiem, zmusić nas do tego mogą jedynie choroba i częściowa utrata świadomości.

Zeszyt ze sprawozdaniami dr. Levitana Franta odkrył przypadkowo, przeczesując Austriackie Archiwum Państwowe w poszukiwaniu dokumentów, które mogłyby się przydać terezińskiemu muzeum. Notatnik oznaczono symbolem P232, Fasz. 11 i podpisano tytułem: „Dr Oskar Levitan, Sprawozdanie Princip 07.11.1917–14.03.1918”. Poza zeszytem złożonym w depozycie w Teczce 993, Fasz. 12 Franta znalazł komentarz, że duplikat przechowywany jest w HH StA PA I Teczka 496, co prawdopodobnie znaczy, że kopia sprawozdania Levitana znajduje się w dworskim oddziale Austriackiego Archiwum Państwowego, wśród akt politycznych. Fortunny przypadek sprawił, że Franciszek Kylin znalazł

zarówno język Gawriła Principa i dr. Levitana, jak i stenografię, więc od razu zorientował się, o co chodzi. Po przeczytaniu tego opracowania Franta, co kilkakrotnie powtarzał, zapoznał się ze wszystkimi opasłymi księgami autorstwa dr. Pappenheima poświęconymi Principowi i popadł w zakłopotanie, ponieważ nie znalazł w nich żadnego śladu wiedzy wynikającej ze sprawozdania dr. Levitana. Albo dr Pappenheim nie wiedział o raporcie swojego asystenta, albo nie chciał go uwzględnić, albo go nie rozumiał, albo nie zależało mu na zawartej w nim prawdzie. W każdym razie, po przeczytaniu notatek dr. Levitana Franta zupełnie inaczej wyobraził sobie poważną książkę o Gawrile Principie.

Jeszcze na stacji kolejowej powiedział mi, że ma do mnie podwójny interes. Po pierwsze, za drobną odpłatnością kilkuset dolarów chętnie oddałby transkrypcję wszystkich notatek, najlepiej człowiekowi, który chciałby poznać i opisać prawdę o Gawrile Principie. Natomiast z mniejszą chęcią sprzedałby oryginalny, niedostępny zeszyt i przepisana całą jego zawartość, jednak w takim układzie policzyłby sobie trochę więcej, wzięłby symboliczną kwotę kilkuset dolarów. Potem, kiedy już wsiadałem do pociągu, wyciągnął z aktówki kilka kartek w nylonowej koszulce i wręczył mi je z zastrzeżeniem, że to tylko próbka i w razie czego wiem, gdzie go znaleźć.

Wszystko to ożyło tak bardzo, jakbym doświadczał tego jeszcze raz od nowa, pod koniec października 1998, kiedy mój wzrok zatrzymał się na kartkach, wciśniętych mi kiedyś na dworcu przez Frantę. Nie wiem, czy szukałem jakiejś wymówki od nudnego zajęcia porządkowania papierów, czy naprawdę mnie to zainteresowało, bądź co bądź przerwałem sprzątanie biurka, przeszedłem do fotela i zabrałem się za czytanie transkrypcji Franty. W końcu, pod wpływem lektury, na szczycie pierwszej strony zapisałem tytuł:

OPIS PRZEBIEGU CHOROBY

07.11.1917

Pacjent wyraźnie niespokojny. Majaki i długotrwanie podwyższona temperatura. Spordyczne bredzenie, ciche i niezrozumiałe. Jedyne słowo „Zapowiadam!”, powtórzone kilka razy. Po południu uspokojenie, ale pacjent nie wykazuje zainteresowania rozmową. Na moje pytanie, co miał na myśli, mówiąc „Zapowiadam!”, odpowiada, że prawdopodobnie miał na myśli właśnie to, co powiedział.

08.11.1917

Bez zmian. Majaki i podwyższona temperatura, stan wzmożonego niepokoju.

09.11.1917

Uspokojenie. Długie okresy przebudzenia, ale widoczne wyczerpanie. Słaba dyspozycja do rozmowy, krótkie, monosylabiczne reakcje na pytania. Tylko jedna dłuższa wypowiedź, niezrozumiana, ponieważ pacjent odmówił jej wyjaśnienia. Muszę dodać, gwoli prawdy: może nie chciał, a może przeszkodziła mu nadchodząca gorączka.

– Pyta mnie: Czy to możliwe, że wasza nienawiść do nas jest silniejsza od waszej miłości do życia? Cóż mogłem odpowiedzieć? Zareagowałem pytaniem na pytanie: czyjego życia? No waszego, mówi. Wy, powiedziałem mu, dobrzeście się postarali, żeby nasz pobyt tutaj ledwie był do życia podobny, a w rzeczy samej bardzo odeń odległy.

– Kto o to pytał? Z kim pan rozmawiał? – starałem się dowiedzieć więcej.

– Fafrok – odpowiedział pacjent.

Czy mowa o dr. Pfefferze, sędzi śledczym?

10.11.1917

Stan się poprawia. Nadmierna potliwość. Rozmowy.

– Najpierw przystali nam kupców, potem wojsko. Teraz ślą nauczycieli i uczonych. Nauczyciele, mówią, mają nam zorganizować szkoły, zagwarantować wykształcenie i świetlaną przyszłość. Ale po ichniemu, tak, że nasze dzieci, jeśli wybiorą przyszłość, od jutra Boga nazywać będą w jednym, a matkę w drugim języku. Jak mamy się określić i zjednoczyć, kiedy dojdzie do czegoś takiego?!

Starałem się ustalić, co i kogo ma na myśli, mówiąc o „nas” i o „nich”, ale nie jestem pewny, czy mi się udało. Domyślam się, że „oni” to Zachód, a „my” to Serbowie, może Słowianie w ogóle, ale nic nie potwierdza moich przypuszczeń. Chciałbym powiedzieć, że uważa mnie za jednego z „nas”, to byłby dobry znak.

W celu utrzymania rozmowy, zauważyłem, że szkoła to zawsze dobra rzecz, nawet prowadzona w obcym języku.

– Rozkład zaraził szczęście – odpowiedział pacjent w podnieceniu. – A rozkład osiąga również mnie, skoro moja wiedza i mój rozum mówią jednym językiem, uczucia i serce drugim, a dusza i pamięć trzecim. Nie istnieję, jeśli fizykę opanowałem jednym językiem, matkę kocham drugim, jedną historię znam w języku swojego dziadka, a drugą w języku obcych uczonych. Gdzie tu miejsce dla mnie? Czy mogę mieć nadzieję, że kiedykolwiek w tym stanie dojdę ze sobą do ładu?

Przerwałem rozmowę, ponieważ u pacjenta pojawiły się objawy wzmoczonego podkscytowania i rozgorączkowania. Szkoda.

25.11.1917

Stan pacjenta stabilny. Puls i tętno w normie. Oddech wyrównany. Rozmowa długa, tok myśli logiczny.

– Nie są już zdolni do odczytywania znaków, a zwracałem im uwagę na dwa wyraźne, widoczne gołym okiem, nawet dziecko nie mogłoby ich przeoczyć. Strzelałem z twarzą odwróconą od celu i zabiłem ich oboje. Jak to możliwe? Dobrzy strzelcy chybają, a ja trafiam każdą kulą, patrząc gdzie indziej?! To znak, który trzeba zrozumieć. To znaczy, że strzelałem ja, ale kule nosił ktoś inny. Albo coś innego. Im się wydaje, że mówię tak, żeby zmniejszyć wymiar kary i uzyskać ułaskawienie. Głupcy! Nie ma dla mnie gorszej kary od ich łaski. Nie mam wobec nich żadnych zamiarów, jedynie uświadamiam im prawdę, której nie widzą, mówię im, że byłem tylko ręką, ale nie twierdzę,

że ręka jest niewinna. Przypominam, że samochód stanął i stał, chociaż nie tak miało być. Kto go zatrzymał? Na pewno nie ja, ale kierowca też nie. A może to oko, które celowało? Wola wypełniająca oko i rządząca ręką? Podkreślam, moje imię Gawriło, czyli u nich Gabriel, nosił archanioła zwiastowania, a oni się śmieją. Nie widzą znaków, ich umysły są zamknięte przed uświęconą wiedzą. Wymyślili samochód i maszynę parową, ale nie widzą tego, co obłąkane dziecko potrafi zobaczyć. „Pan Bóg w dobrej wierze, z przodu daje, z tyłu bierze” – mówiła moja świętej pamięci babka. Pasuje to do nich jak ulał.

Wypytywałem pacjenta o archanioła i prosiłem, żeby powiedział, co dokładnie ma na myśli, wspominając jego imię.

– Kwadrat jest formą pełną i doskonałą, cztery są strony świata i cztery pory roku. Żeby zamknął się cykl panowania Boga Jedyneego i żeby czas się wypełnił, On musi objawić się cztery razy. A On objawił się dotychczas trzy razy: na górze Synaj, w Palestynie i w Mekce. Archanioł Gabriel po raz pierwszy pojawił się pod postacią Tablicy Prawa, po raz drugi jako Słowo, a trzeci jako Duch, albowiem muzulmański Prorok nie widział go ani nie słyszał, a w sobie, w głębi duszy wyczytał wszystko, co zostało mu przekazane. Żeby czas się wypełnił, żeby Rok panowania Boga Jedyneego dobiegł końca, musi się zawrzeć kwadrat, a archanioł Gabriel musi nadejść po raz czwarty. Ponieważ świat z ducha powstaje, dlatego rzeczywistość może przyjąć tylko czyny zwiastowane. Tym razem On przybył jako wybuch. Kiedy się zjawił jako Prawo, wzywał do porządku, kiedy stał się Słowem, apelował o miłość, a kiedy przyszedł pod postacią Ducha, odwoływał się do pokoju. Jeśli właściwie pojąłem, teraz, kiedy jest na kształt wybuchu, przyzywa siłę, dzieło, czystą moc.

Zapytałem pacjenta, jak wyjaśni fakt, że nie wie, co osobiście miałby objawić, przecież powinien to wiedzieć, jeśli rzeczywiście jest Gawriłem, Gabrielem, archaniołem Objawienia.

– Ja jestem ręką, tylko ręką, mówiłem już. Gotową do działania, co do tego nie ma wątpliwości, ręką, która sama chciała tego, co musiała zrobić i dlatego tak dobrze wyszło jej dzieło, ale, bądź co bądź, ręka to tylko ręka. Nie może wiedzieć, co się kryje w głowie i w duszy, ani jaka jest wola poza głową i duszą. Wiem, że wystrzałem dałem początek nowym czasom, które nie mogły nastąpić, dopóki nie ogłosił ich archanioł Gabriel, ale nie mogę wiedzieć, co ze sobą przyniosą, nie mogę wiedzieć niczego poza tym, co muszę wykonać.

Zapytałem pacjenta, czy ma inne powody, by sądzić, że jest zwiastunem nowych czasów. Dotychczas słyszeliśmy o imieniu, odwracaniu spojrzenia, niewyjaśnionym hamowaniu i postoiu samochodu. Czy może jest coś jeszcze, co potwierdzałoby jego pogląd?

– W cyklu panowania Boga Jedyneego poszczególne epoki i religie powstawały i dawały o sobie znać w momencie koniunkcji Jowisza i jakiejś innej planety, być może powstawały właśnie dzięki takiej konfiguracji. Wiarę moją rozpoczęła koniunkcja Jowisza i Saturna, chrześcijaństwo Jowisza i Merkurego, a islam Jowisza i Wenus.

W obecnych czasach, z pewnością przed moją śmiercią, musi dojść do koniunkcji Jowisza i Księżycy, co oznacza początek nowej ery i religii siły. Dla mnie to oczywiste, że sprawa dotyczy Księżycy, bo w tej nadchodzącej epoce planeta Ziemia utraci kontakt z niebem i postrada wszystkie wiary, która nie sprowadza się do czystej materii.

12.12.1917

Stan się pogarsza. Silne konwulsje przeszywające ciało. Długie drżączki. Gotów jestem wątpić, czy mamy tutaj do czynienia jedynie z gruźlicą kości. Pardon.

Bez rozmów, tylko bredzenie. Jedna sensowna wypowiedź, dwukrotnie powtórzona.

– Wyzwól z siebie wiązkę światła i oświetl braciom drogę, bądź językiem płomieni i wrogów zażegnij...

17.12.1917

Nie ma już co do tego wątpliwości, pacjenta czeka długa, straszna agonia, nic innego. Biedny chłopak! Tak, teraz to tylko chłopak. Pardon.

23.12.1917

Nieoczekiwane polepszenie. Pacjent spokojny, niemal pogodny. Ogólne wyczerpanie fizyczne, stąd rozmowa z dłuższymi przerwami.

– My wierzymy, że człowiek człowiekowi bratem, oni wierzą, że wilkiem. Oni wierzą w to od tak dawna, że stało się to częścią ich natury, dlatego uważają, że społeczeństwo jest džunglą i że człowiek, żeby przeżyć, musi zabijać swoich ziomków. Myśmy przywitani ich jak braci, oni nas zniewolili, teraz nas okradają, zabijają, nie żeby nas nienawidzili, ale dlatego, że z czasem stali się wilkami i to jest częścią ich natury. Im się wydaje, że są lepsi od nas, bo są silniejsi i mogą okradać. A rzecz sprowadza się do tego, że oni przybyli jako wilcy, a myśmy ich podjęli jak braci. Teraz przysyłają nam uczonych, żeby opisywali nasze byliny i legendy, naszą pamięć i wiarę. Zbiorą to wszystko, poprzeraibają i oddadzą nam w zmienionej postaci, utrzymując, że to jest to, w co my tak naprawdę wierzymy. W okresie poprzedzającym naukę myśleliśmy, że wierzymy w to, co pamiętamy i czego uczyli nas dziadowie, a teraz, uczeni i oświeceni, mamy wierzyć w to, co nam przygotowali. Oni chcą po swojemu kształtować nasze dusze i wiarę. Dlaczego, pytam?! I tak nas zniszczą, uśmiercają bowiem wszystko, w czym nie poznają swojego odbicia. A w nas nie mogą go poznać, my strzeżemy bowiem świętej nauki.

27.12.1917

Podejrzanie bronchitu i zapalenia płuc. Trudności w mówieniu, kłopoty z oddychaniem. Widoczne ogólne pogorszenie. Pacjent prawie nic nie powiedział. Tylko jedna myśl warta zapisania. Nie wiem, czy ją wykrztusił w pełni świadomości, czy bez przytomności.

– Oni się mnie boją, bo mnie nie rozumieją, to żałośni niewolnicy, gdyż w królestwie bezspornego rozumu nie ma miejsca na wolność.

28.12.1917

Bez zmian. Na przemian szepcze i krzyczy, a potem długo walczy o oddech. Nie otwiera oczu.

– Nie ma dla nas nadziei, w tym nasza siła i nasza przewaga. Nie mamy nic do stracenia, nawet śmiercią zyskujemy. Świat się wali? Tym lepiej, mam z tego same korzyści. Dlaczegoż mielibyśmy stać na straży takiego świata, który obchodzi się z nami w ten sposób? Dla nas, na szczęście, nie ma nadziei i dlatego nic nam nie grozi.

14.01.1918

Wycieńczony, ale przytomny. Oczyma pokazał, żebym przystawił ucho do jego ust i wyszeptał zdanie, które zapisuję:

– Oni się mnie boją, bo nie mogą znieść mojej wolności. Zostawili mi tylko ciało, a teraz zdjęci grozą zobaczą, że ciało, jeśli posiada duszę, również może wybuchnąć.



Kazimierz Nurczyk, *Ślepa miłość*